

J. BRAUN.

„DEMON FILMU“

22

A on sam, szef sztabu, w którego rękach skupiają się wszystkie nici, którego mózg, jak elektryczna bateria komenduje całą akcją promieniuje na wszystkie fronty tej dziwnej, niesamowitej, wojny, który karmi swoim szpikiem, swoją energią wszystkie rozpetzłe macki i narządy walczącego organizmu — ten mózg, nieproporcjonalnie wielki w stosunku do sił, jakimi rozporządza kołysze się tutaj w tej wątej, pływającej łupinie, którą lada cios, proste pchnięcie torpedy może roztrzaskać i zniszczyć.

Miał w ręku atut jeden: tłum. Tłumem władał Za barakadą zahipnotyzowanych mas, żyjących pod urokiem larwy niewidzialnego „Demona“ działał śmiało, bezpiecznie i sprawnie. Ale oto stało się nieszczęście. Rachunek pomylił go. Obliczenia zawiodły. Cugle wymknęły mu się z rąk, maszyna, która pod jego dyktandem miała pisać pobitym władzom warunki zaczynające się od słów: „Biada zwyciężonym“ — zepsuła sama swój mechanizm.

Huk strzałów i wrzawa pogromu IX-tej dzielnicy wstrząsnęła nim, jak wybuchająca petarda. Zrozumiał. Wskazówki zegaru stolicy wyłamały się z jego trybów i poczęły iść w przeciwną stronę. Energia, jaką nagromadził mądrze i przebiegle, aby jej użyć, jako ostatecznych rezerw w boju, realna siła zbrojna, jaką chciał rzucić w decydującym momencie na szalę wydarzeń — wyładowała się przedwcześnie, wykrwawiła bezproduktywnie i strawiła się sama. Przestała istnieć...

Dax zwijał się w kłębek i syczał w pasji, jak wąż, któremu gibki jaguar porwał z przed nosa ofiarę.

Chińczycy, te żółte psy parszywe — przebieglej-i byli od niego. Ubiegli go, okradli poprostu i owoc jego żmudnej pracy wyzyskali dla swoich celów. Oh, zemści się na nich straszliwie. Jeszcze przed ucieczką podpalił tę wrażliwą, robaczywą dzielnicę...

Ale na cóż się to przyda? Na szachownicy jego gry zabito mu wszystkie pionki i połowę figur. Reszta cofa się bezładnie w kąt pola, zapędzona przez rączą sforę bezlitosnych ogarów.

Cóż pozostało?

Chyba jedna tylko ucieczka — do pioruna!?

— Harry — krzyknął

Drzwi sąsiedniej izby otworzyły się. Wszedł porucznik.

— Rozkaz kapitanie...

— Zdjąć kotwicę!

— Stucham..

— Zmieniamy pozycję. Trzeba się koniecznie wydostać z tego przeklętego labiryntu okrętów. Lada chwila możemy mieć wroga na karku. Na pełne morze.

— Gdzie stanąć...

— Dwie mile od stacji wojennej floty.

— Co? pod boki tych Lucyferów? w paszczę lwa jechać?

— Powiedziałem — wrzasnął Dax.

— Stanie się... — mruknął Harry i skłonił się..

— Czekaj!

Harry zatrzymał się.

— Gdzie może być „Ceylon“ w tej chwili? Jakżeby on mi się teraz przydał.

— Wysłaliśmy doń przecież radio — kapitanie. Odpowiedzi niema jeszcze. Bez wątpienia stary lew morski będzie się spieszył.

— Oby zdążyli na czas... To jedno może nas wyratować z opresji.

— Czy sytuacja jest aż tak beznadziejna?

— Żle jest Harry. Trzeba likwidować tę awanturę. Pojedziemy na południe...

— Gdzie?

— W słońce! w kraj żarów! ku zwrotnikom!...

— Al right! — ucieszył się Harry.

Wyszedł.

Za chwilę parowiec zadrżał sprężyscie, zaskoływał się na fali i pchnął się naprzód, warknąwszy alarmem śruby. Płynęli wolno, wymijając okręty, z których patrzyli za nimi ciekawie z fajkami w zębach marynarze.

— Gdzie to? — krzyczeli tu i ówdzie. — Gdzie jedziecie...

— Do diabła! — śmiali się majtkowie Daxa. — Jedziemy z wizytą — do diabła. Czy macie może jakie polecenia?

Marynarze sąsiednich statków parskali wściekle wesółym śmiechem. Dowcip kolegów zdawał się im być bardzo dobrym dowcipem... Do diabła!... a niechże ich, tych figlarzy z „Bajadery“. Oto weseli chłopcy. Do diabła — a to się im udało wymienienie.

— Pa, pa — ryczeli uprzejmie, machając chusteczkami. — Szczęśliwej podróży. Szczęść wam Boże, do diabła!...

Wesoło płynęli nieświadomi niebezpieczeństw marynarze. Wieczór rozbrzmiewał echem ich dzikich pieśni.

A Dax w swojej „kapitańskiej“ przewracał się dalej z boku na bok trapiiony złemi myślami.

— Spokojnie Dax — upominał się półgłosem. — Przedewszystkiem zimna krew i spokój.

Ale spokój nie chciał zawitać do jego obolałej, kotłującej nawałem obrazów głowy.

— Pójdę do Riksz — postanowił.

Księżniczka przyjęła bardzo filozoficznie złe wieści.

— Bóg dał, Bóg weźmie — mówiła leniwie, biorąc z rąk chłopca fajkę. Paliła teraz ciągle. Było to już ostatnie stadrum palacza. Bez opium nie mogła istnieć, sen uciekł z jej powiek, pokarmy przyjmowała niechętnie.

— Musimy odjechać, księżniczko...

— Odjedziemy.

— Nie stanie w środku miasta twój pałac i twój tron szczyrołoty, ty cudna, rajska odalisko.

— Tron, pałac, królestwo, świat cały — to złuda. Nie pragnie wina i przysmaków złota, kto dotarł do źródła rozkoszy. Nie istnieje dla mnie raj i wszystkie królestwa ziemi. Palę...

— A mnie będzie żal niespełnionych snów, Riksz...

— Polecimy znowu?

— Znowu w świat i we wiatry mój, jak wieczne wędrowne ptaki.

— Mój świat w tobie, panie i w tej maleńkiej palarni. Na wszystkich morzach świata jedna mi ojczyzna.

— Daj usta...

— Całuj... Upij się ich czerwoną trucizną i przestań łamać się z losem. Nie warto walczyć...

— Nie mów tak Żyłem dla walki i zginę w walce.

— Całuj mocno i pieść moje gorące ciało. Nie myśl o śmierci. Jeśli zginieśmy to razem... a może obudzimy się już na lotosach „zachodniego raju“.

— Ja? Zbrodniarz? Rozbójnik mój i lądów?

— Któż wie i któż śmie wątpić w „możliwość“...

Przygarnął ją drapieżnie i począł całować jej oczy i usta. Gdy za godzinę wyszedł z kajuty i udał się na pokład, by wybrać miejsce postoju dla statku, spotkał się oko w oko z jakimś obcym, wałęsającym się po pokładzie marynarzem.

— Ktoś ty — zatrzymał go ostro.

— Ja tu od wczoraj na służbie, kapitanie...

— Marsz do roboty!

Marynarz zasalutował i oddalił się szybko. Dax zauważył Harry'ego na pomoście.

— Harry, tutaj!

Porucznik zbliżył się, zaniepokojony twardą nutą w głosie zwierzchnika.

— Spotkałem tu jakąś obcą kreaturę wśród mojej załogi. Co to za człowiek? Dość, nie tłumacz się. Proszę mi zwrócić na niego baczna uwagę, a na przyszłość bez mojej wiedzy nie przyjmować nikogo. Zrozumiano?!

— Panie kapitanie...

— Dość, powiedziałem!

— Chciałem tylko...

Dax przerwał mu ruchem ręki.

— Przyjechali? — zapytał

— Z miasta? Tak jest, są już na statku.

— Niech przyjdą do mojej kabiny.

— Rozkaz!

Dax wszedł do swojej kapitańskiej „celi“ i czekał.

Zapukano.

— Wejść!!

Wszedł Harry, za nim John Great, drugi porucznik załogi, sekretarz Daxa, znany nam z „atelier“, główny inżynier i paru innych ludzi.

— Wszyscy?

Wszyscy — odpowiedzieli chórem.

Dax wstał, wyprostował się dumnie i łypnął ku nim ogniem swych straszliwych ślepiów.

— Panowie! Przegraliśmy ostatnie stawki. Jutro wieczór podnosimy kotwicę i jedziemy na Południe. Zlikwidować wszystkich aktorów się rozpędzi... Najbardziej cenne maszyny i ruchomości załadować na statek — mam tu ich spis, panie kierowniku administracyjny. Uważać przy transporcie. Bocznymi ulicami, ostrożnie i cicho. Malajska fregata „Dasgotai“ oczekiwać będzie jutro o godz 7-mej wieczór w porcie towarowym Nr. 12!

Podniósł głos.

— Porucznicy. Proszę się przygotować na każdą ewentualność. Być może, że nie zdołamy wycofać się bez walki. Kto się boi, wolna droga! Zostawiam wolną rękę, można odejść.

Milczeli.

— A więc panowie jesteście zdecydowani...

— Iść z tobą, kapitanie.

— Jeszcze słowo! Jestem zbrodniarzem, awanturnikiem, wyjętym z pod prawa korsarzem. Czy to was nie odstrasza?

— Nie, kapitanie.

— Dziękuję!

Podał im ręce.

— A teraz proszę odebrać szczegółowe instrukcje.

Każdy z obecnych otrzymał ćwiartkę papieru wypełnioną dokładnymi informacjami, co do sposobu wykonania tych poleceń...

Skłonili się, chcąc odejść...

— Jeszcze słowo dla sekretarza. Proszę na jutro wieczór przygotować ucztę pożegnalną dla aktorów. Należy pozostawić po sobie jak najlepsze wrażenie, mimo wszystkich niemiłych zajęć! Muzyka, tancerki, trunki, zrozumiano?

— Wszystko będzie, kapitanie!

— Żegnam!...

Wyszli.

Jednego tylko pominął Dax rozdając instrukcje, a był nim obcy marynarz, który słyszał wszystko zaczajony bezczelnie pod okienkiem kajuty. Gdyby Dax wiedział był o tem, instrukcja wydana temu człowiekowi, byłaby zwięzła i lakoniczna. Kazałby mu się mianowicie samemu powiesić na maszcie. Ale Dax nie wiedział...

Marynarz skradał się chyłkiem na tył okrętu i po sznurkowej drabinie zląkł zwinnie do małej łódeczki. Plusnęły wiosła — odjechał...

(Ciąg dalszy nastąpi).